Dodatek bezpłatny do Nru 159

GŁOSU NARODU.

Kraków, dnia 10 czerwca 1905.



Wyścig żeglarzy przez Ocean.

W zeszłym tygodniu odbył się jedyny w swoim rodzaju wyścig jachtów żaglowych przez Ocean Atlantycki, — od Nowego Jorku, a właściwie Hoboken — do brzegów Irlandyi. Do »biegu« stanęło kilkanaście statków niewielkich rozmiarów, które zaryzykowały niebezpieczną przeprawę. Wszystkie były zbudowane w Ameryce i Anglii, i należały do Anglików i Amerykanów; tylko jacht »Hamburg« płynął pod flagą niemiecką. Przeprawa trwała 12 dni, a pierwszy przybył do mety amerykański jacht »Atlantic« pod dowództwem kapitana Barra. W nagrodę otrzymał wspaniały złoty puhar.

Podróż żaglowcami przez Ocean Atlantycki jest połączona z rozmaitemi niebezpieczeństwami zwłaszcza podczas burzy, która te małe statki może łatwo zanurzyć. Wicher, którego olbrzymie transatlantyckie, parowce prawie nie odczuwają, może łatwo żaglowca

zatopić. To też do kierowania statkami żaglowemi trzeba więcej odwagi i zręczności, niż do prowadzenia parowców. Łodzie takie są zresztą możliwe tylko w lecie, gdy wieją lekkie wschodnie wiatry. W porze burzliwej żaglowcè, zwłaszcza tych rozmiarów co jachty, nie mogą puszczać się na Ocean.

Nasza rycina daje odbicie podobizny śmiałego kapitana i jego pięknego statku.



Bocian ó sztucznej nodze.

W ogrodzie zoologicznym w Antwerpii, oglądać można od niedawna osobliwy okaz pomysłowości naukowej. Jednemu z pary bocianów, chowanych w ogrodzie, złamano nogę, cegłą zrzuconą przy przebudowywaniu domku, w którym ten symboliczny ptak miał swoje mieszkanie. Ponieważ nie chciano zabijać okazałego ptaka, podjął się znany operator, prof. Cattet zaopatrzyć bociana w sztuczną nogę. Górne części sztucznej nogi, w miejscu, gdzie łączy się z kością, zrobione są z aluminium, dół zaś z preparowanej kości, okrytej delikatną skórką gutaperkową. Zapomocą sznurków gumowych, którymi połączone są obie części, bocian może nawet nogę zginać, musiano mu jednak w pierwszych dniach po operacyi udzielać formalnych nauk »nowego« chodzenia, do czego się zresztą prędko przyzwyczaił.

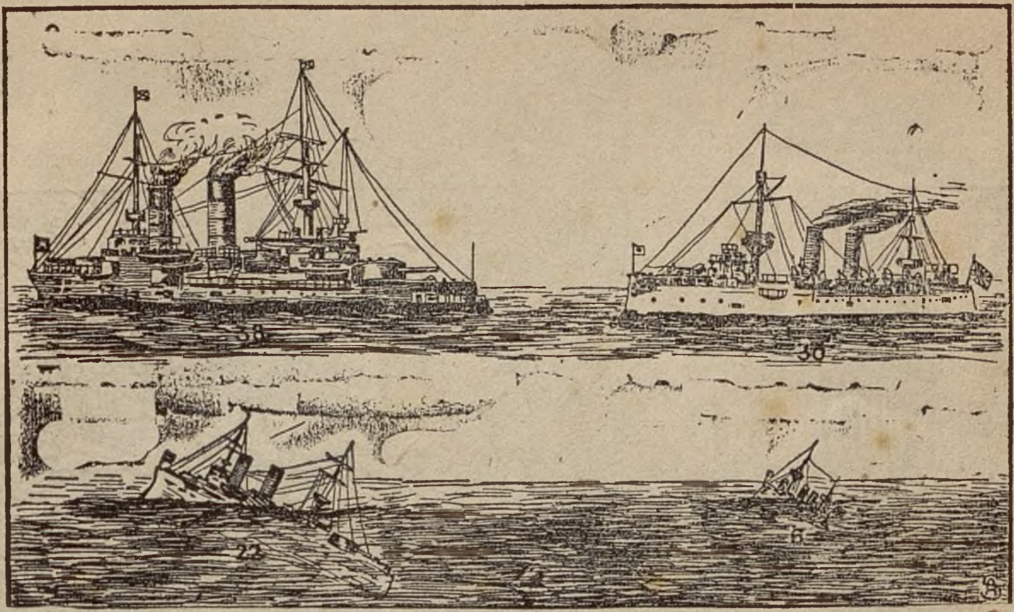


Admirał Jonquieres.

W czasie pobytu floty rosyjskiej na wodach indo-chińskich, — wymieniano często nazwisko admirała Jonquiéres, głównodowodzącego morską eskadrą francuską w Azyi. Kiedy Rożdiestwieński przebywał w zatoce Nauman z pogwałceniem zasad neutralności, a rząd francuski energicznie przeciwko temu protestował, admirał Jonquiéres toczył układy z Rosjanami, aby ich skłonić do opuszczenia francuskiej kolonii. Zwykle jednak tak jakoś się urządzał, że rosyjskich okrętów nie mógł odszukać.... i w ten sposób umożliwił Rosjanom dłuższy spokojny pobyt przy brzegach anamskich. Jako dowódzca, admirał Jonquiéres nie miał szczęścia, bo najpiękniejszy statek jego eskadry »Sully« natknął się na skałę i tkwi tam dotychczas.

Dwie floty.

Gdy w lutym ubiegłego roku Rosja i Japonja rozpoczęły wojnę, flota rosyjska była liczebnie silniejszą od japońskiej. Rosja rozporządzała wtedy powyżną liczbą okrętów wojennych na Oceanie Spokojnym; w Porcie Artura stała wtedy silna eskadra bojowa, eskadra władywostocka składała się z dobrych okrętów. Oprócz tego na morzach europejskich miała Rosja eskadry, które mogły reprezentować jej stanowisko mocarstwowe jako potęgi morskiej. — Japonja rozporządzała flotą modną, zbudowaną i uzbrojoną według najnowszych wymagań sztuki wojennej, jednakże liczebnie słabszą.



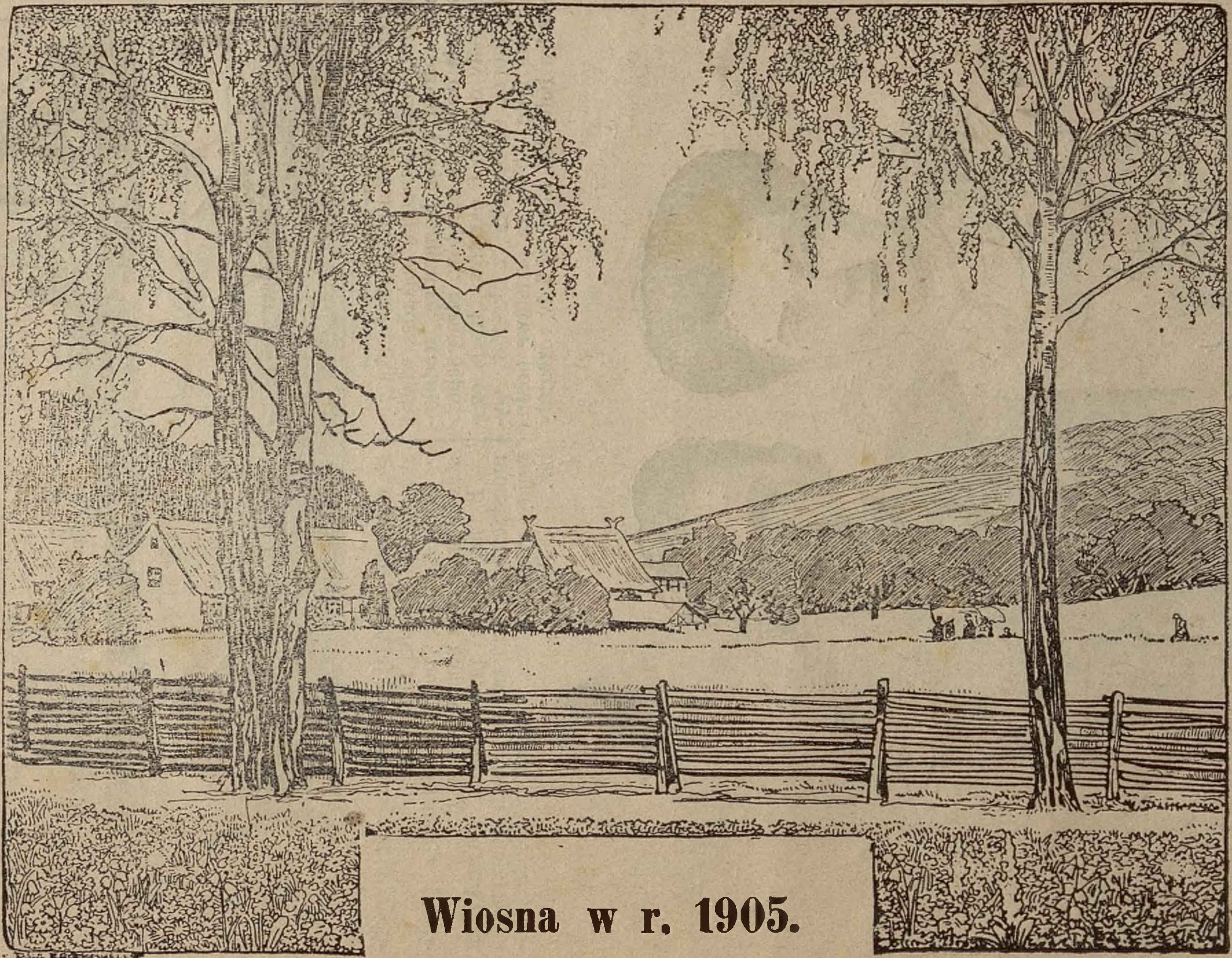
W ciągu wojny eskadra portarturska została doszczętnie zniszczona, eskadra władywostocka rozbita przez Kamimurę, zredukowaną została do dwóch okrętów. Straty japońskie wyniosły ogółem 6 okrętów. Rosja ogołociwszy morza europejskie z okrętów, wystawiła nową flotę, której za podstawę posłużyła eskadra bałtycka. Losy tej floty rozegrały się w bitwie morskiej pod Tsusimą; flota japońska wyszła z walki bez szkody.

Zamieszczona powyżej illustracja przedstawia graficznie stosunek obu flot:

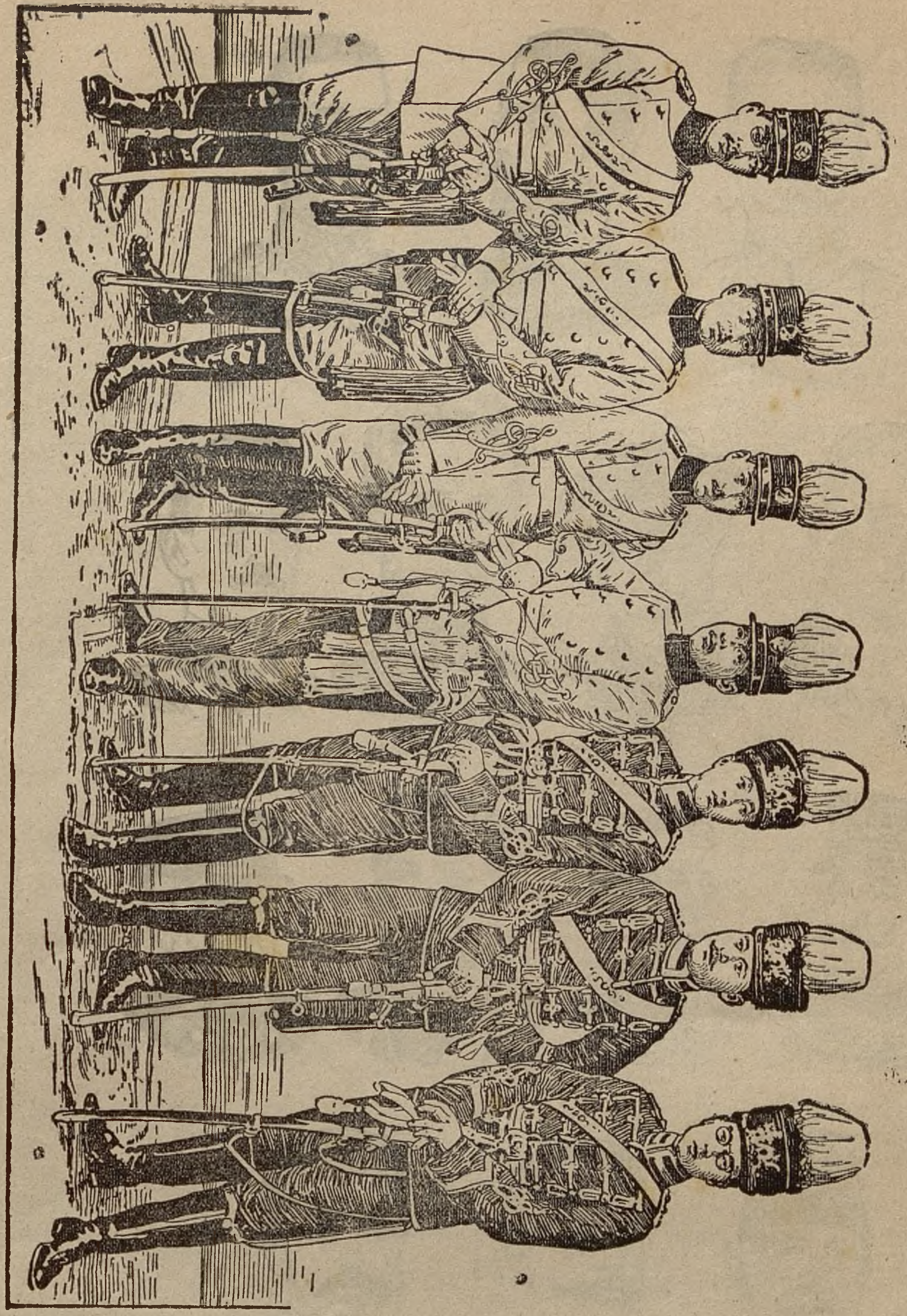
Ryciny górne przedstawiają stosunki sił morskich obu państw w chwili rozpoczęcia wojny, ryciny dalsze stosunek w obecnej dobie.



Niemiecki następca tronu z żoną.



Wiosna w r. 1905.



Oficerowie chińscy
w armii niemieckiej.

Za przykładem Japonii wysłały także Chiny kilku młodych oficerów do Niemiec, by tam wyuczyli się nowożytnej sztuki prowadzenia wojny i obznajomili się z organizacyą wojskową. Oficerowie chińscy, należący do najpierwszych rodzin, chodzą w mundurach, które sobie sami skomponowali. Trzej z nich służą w kawaleryi (na naszej rycinie, po prawej stronie), czterej zaś w artyleryi. Obecna wojna wykazuje, jak Japończycy umieli spożytkować i wydoskonalić nauki pobrane w Niemczech, jeżeli chińscy oficerowie potrafią przeprowadzić podobną reorganizacyę armii chińskiej, wtedy Chiny sprzymierzone z Japonią, staną się w Azyi groźną potęgą, której żadna inna nie będzie w stanie dorównać.



Arcyks. Franciszek Ferdynand. Książe Gustaw Adolf szwedzki. W. ks. Michał Aleksandrowicz.
Krystyan książe duński. Ks. Artur Connaught. Ks. Albert belgijski. Ks. Emannel włoski.
Generał Lacroix. Pułkownik Chabaud. Deputowany Arago. Kontr-admirał de Marolles.
Tukehan basza. Alfons książe Portugalji. Książe japoński Arisugava.

A. P. CZECHOW.

STRZELEC.

Skwarne i duszne południe. Na niebie niema ani jednej chmurki... Spalona przez słońce trawa wygląda smutnie i beznadziejnie: choćby spadł deszcz, nie zazieleni się już... Las stoi w milczeniu, nieruchomie, jakby wpatrzony gdzieś swymi wierzchołkami, lub wyczekujący czegoś...

Krajem drogi leśnej, wlecze się leniwie i ociężałym krokiem czterdziestoletni mężczyzna o wązkich plecach, w czerwonej koszuli, połatanych spodniach, darowanych przez pana i w długich butach. Na prawo zieleni się las, na lewo aż tam, gdzie się kończy widnokrąg, ciągnie się srebrzyste morze dojrzałego żyta... Mężczyzna jest czerwony i spocony. Na kształtnej płowej głowie nasadzony ma zuchowato biały kaszkiecik, o prostym, dżokiejskim daszku — prawdopodobnie, dar jakiegoś szczodrego panicza. Przez ramię przewieszoną ma torbę myśliwską, do której przytłoczył cietrzewia-koguta, w rękach trzyma dubeltówkę z odwiedzionymi kurkami i spogląda przymrużonemi oczyma na swego starego, chudego psa, biegnącego przodem i obwąchującego krzak... Dokoła cisza, nie słychać żadnego dźwięku... Wszystko, co żyje, schroniło się przed skwarem...

— Jegorze Własyczu!—słyszy naraz strzelec ciche wołanie.

Drgnął, obejrzał się i zmarszczył brwi. Tuż za nim, jakby wyrosła z pod ziemi, stoi bladolica kobieta, licząca około trzydziestki, trzymająca sierp w ręku. Kobieta stara się zajrzeć mu w oczy i uśmiecha się nieśmiało.

— A, to ty, Pelagio! — odzywa się myśliwy, zatrzymując się i spuszczając powoli kurki u strzelby. — Hm... Zkądżeś się ty tu wzięła?

— Baby z naszej wsi są tu na robocie, więc i ja z niemi... Najęłam się i ja, Jegorze Własyczu.

— Tak... — mruczy Jegor Własycz i idzie powoli dalej.

Pelagia kroczy za nim. Przeszli w milczeniu z jakie dwadzieścia kroków.

— Dawno was już nie widziałam, Jegorze Własyczu... — mówi Pelagia, czule spoglądając na poruszające się plecy i łopatki myśliwego.

— Od tego czasu jakeście wstępowali do naszej chaty w tydzień Wielkanocny, żeby się napić wody, nie widziałem was ani razu. Wstąpiliście w tydzień Wielkanocny na chwilkę i to Bóg wie jak jeszcze... po pijanemu... Zwymyślaliście, pobili i odeszliście... Tak was wyczekiwałam i wyczekiwałam... oczy sobie wypatrzyłam, wyglądając was... Eh, Jegorze Własyczu, Jegorze Własyczu! Żebyście to choć jeden raziczek wstąpili!

— A cóż ja mam robić u ciebie?

— Niby, po prawdzie, to nie macie nic do roboty, ale tak... zawsze przecie gospodarstwo... Zajrzeć co, niby i jak... Przecieżeście gospodarz... Oo... zastrzeliliście widzę cietrzewia! A ot siedlibyście trochę, odpocząć.

Mówiąc to wszystko, Pelagia śmieje się, jak trzpiotka i wpatruje się w oblicze Jegora... Twarz jej promienieje szczęściem!

— Siąść? Można... — odpowiada tonem obojętnym Jegor i wybiera miejsce pomiędzy dwoma rosnącemi obok siebie choinkami. — Czegoż stoisz? Siądaj i ty!

Pelagia siada w pewnem oddaleniu, na miejscu wystawionem na słońce i wstydząc się swej radości, zakrywa sobie ręką uśmiechnięte usta.

Upływa parę minut w milczeniu.

— Żebyście wstąpili choć jeden raziczek, — mówi po cichu Pelagia.

— Poco? — wzdycha Jegor, zdejmując kaszkiecik i ocierając rękawem uznojone czoło. — Niema potrzeby. Wstąpić na godzinkę lub dwie — mitręga tylko, bo dla ciebie bałamuctwo, na stałe zaś osiedlić się w chałupie — tegoby znów dusza moja nie ścierpiała.... Sama wiesz, że ze mnie człek wybredny... Mnie trzeba i łóżka i herbaty dobrej, i delikatnej pogadanki... Żeby wszystko było porządne, a u ciebie tam w izbie bieda, swąd... Nie wytrzymałbym ani jednego dnia... Jakby wyszedł ukaz taki, na przykład, żebym koniecznie mieszkał u ciebie, tobym albo chałupę spalił, albobym się na życie swoje targnął... Od maleńkości już we mnie siedzi ta wybredność, niema na to żadnej rady...

— A gdzież mieszkacie teraz?

— Służę u pana Dymitra Iwanyczą, za strzelca... Do stołu mu zwierzyny dostarczam, więcej zaś tak, dla swojej przyjemności mię trzyma...

— Nie stateczne to zajęcie, Jegorze Własyczu... Dla ludzi to swawola, wyście zaś sobie z zabawy czyste rzemiosło zrobili... stałe zajęcie...

— Et, nie rozumiesz się na tem, głupia, — mówi Jegor, spoglądając rozmarzonym wzrokiem na niebo. — Od urodzenia swego nie rozumiałaś i przez całe życie nie zrozumiesz, jaki ze mnie człowiek... Wedle twego zrozumienia, to ja jestem próżniak i niestateczny człowiek, a ci co się na tem znają, wiedzą dobrze, że ze mnie najlepszy w całym powiecie strzelec. Panowie to uznają i nawet w gazetach o mnie drukowali... Żaden człowiek nie może się ze mną równać w sprawach myśliwskich... A że ja się waszemi wiejskiemi zajęciami brzydzę, to nie ze swawoli, nie z pychy... Od dziecka już, oprócz do strzelby i psa, do niczego ciekawości nie miałem. —

Strzelbę mi odebrali, tom się brał do wędki, a jak mi wędkę zabrali — to rękami łowiłem... No, i końmi handlowałem, po jarmarkach się włóczyłem, gdy miałem pieniądze. Wiesz sama dobrze, że jeśli się który z chłopów zapisze do myśliwstwa albo do koniarstwa — to już bywaj zdrowa socho! Jak już raz wlezie w człeka wolny duch, to niczem go już nie wypłoszysz... Tak samo, jeśli który z pańskiego stanu pójdzie na aktora albo do innego komedyanctwa, to już nie będzie ani urzędnikiem, ani gospodarzem wiejskim. Tyś baba, więc tego nie rozumiesz, ale to trzeba rozumieć.

— Ja rozumiem, Jegorze Własyczu!

— Widać, że nie rozumiesz, kiedy ci się na płacz zbiera...

— Ja... ja nie płaczę... — odpowiada Pelagia, odwracając twarz. Grzech, Jegorze Własyczu! Choćbyście z jeden dzień ze mną przemieszkali! Dwanaście lat już, jakem za was wyszła, a... a ani trochę miłości między nami nie było!... Ja... ja nie płaczę...

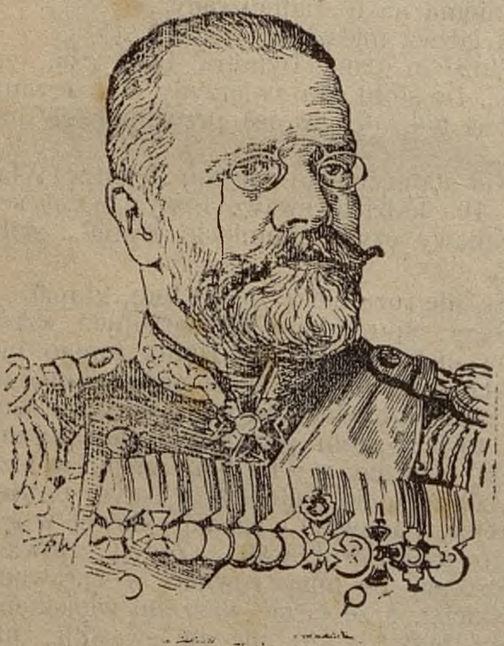
Dok. nast.



Mikołaj w. ks. czarnogórski.



Baron Fejervary.



Admirał Skrydłow.



Silvella.